

ZWYCIĘZCA

CONTENDER

‡ ZAWODNIK †

TARAN MATHARU

ZWYCIĘZCA

TEUMACZENIE: MICHAŁ ZACHARZEWSKI



Tytuł oryginału: *Contender. The Champion*

Redakcja: Justyna Techmańska

Korekta: Magdalena Magiera, Bogusława Brzezińska

Skład i łamanie: Robert Majcher

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © 2020 by Taran Matharu Ltd. All rights reserved.

Jacket art © 2021 by Matthew Griffin

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-132-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: **opolgraf** 
Drukarnia

Wydrukowano na papierze CHB 60g, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Moim czytelnikom, w podziękowaniu za wsparcie.
Bez was ta książka nie mogłaby powstać.

PROLOG

– Jesteś mordercą, Cade!

Głos Fincha rozległ się w ciemności. Cade go nie widział, dryfował w mrokach niepamięci. Zdawał sobie sprawę, że śni, bo tak naprawdę leży w łóżku, trawiony gorączką. Tyle pamiętał, a nawet widział w swoim umyśle.

Zajmował się nim Quintus. Rozcinał gladiusem szorstkie szwy. Odsącał i czyścił głęboką, ropiejącą ranę w nodze. Amber przecierała mu czoło mokrą szmatką, zapewniała kojący chłód, gdy trawiony gorączką telepał się z bólu i miał wrażenie, że pęknie mu czaszka.

Ale nawet kiedy próbował odzyskać przytomność, wywołany chorobą sen nie ustępował. Cade nie potrafił się obudzić, choć bardzo się starał.

Przez jego głowę przewijały się kolejne wspomnienia. Niezłomnicy wiozący go do Nowego Rzymu w łańcuchach. Cesarz oferujący zbroję i wolność za zwycięstwo na arenie. Powrót do Twierdzy i walka z alfą. No i pocałunek Amber. Uchwycił się kurczowo tego krótkiego momentu szczęścia, zanim wspomnienie rozplynęło się niczym śnieg na wiosnę.

– Morderca!

Cade szedł teraz po piaskach areny. Była prawie pusta. Żadnych wiwatujących tłumów. Żadnego cesarza obserwującego go ze swojej łoży.

Przed sobą zobaczył kilku ludzi. Trupiobladych, o szeroko otwartych, wpatrzonych w niego oczach. Finch. Chiński żołnierz. Konfederacki pułkownik.

Trzech ludzi, których zabił ku uciesze publiczności.

– Nie miałem wyboru – wyszeptał. – Abaddon mnie do tego zmusił.

– Zawsze jest jakiś wybór, Cade – rozległ się głos Fincha. – Z jakiegoś powodu Abaddon wybrał właśnie ciebie. Zapewne wiedział, kim w głębi duszy jesteś. Zwykłym mordercą.

Niemal zadławił się świszczącym śmiechem. A gdy Cade się obrócił, szukając zapomnienia we śnie, rehot Fincha przeszedł w okrutny szept Abaddona.

– Co się stało, Cade? – zachichotał awatar. – Nie podoba ci się moja gra?

I wtedy pojawił się inny głos. Odległy, lecz spokojny.

– ...będzie dobrze – powiedział. – Dasz radę.

Zobaczył wówczas swoją matkę. I ojca. Jak zwykle pichcili coś w kuchni, rozmawiając przy tym o życiu. Byli w domu, do którego Cade kiedyś wróci. Znajdzie sposób.

Lekko uchylił powieki.

Amber spoglądała na niego z góry, a w jej brązowych oczach mieniła się troska.

– Gorączka spada, Cade – szepnęła. – Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale wciąż musisz walczyć. Jeszcze tylko trochę...

Powieki strasznie mu ciążyły. Zamknął oczy i poczuł, że palce dziewczyny gładzą jego mokre od potu włosy.

Postaraj się jeszcze odrobinę powalczyć.

Mógł to zrobić.

JEDEN

Dwa miesiące później

Cade przytulił policzek do ziemi. Modlił się, żeby go nie zauważyły. Wstrzymał oddech i wsłuchał się w gardłowe okrzyki stojących przed nim olbrzymich bestii.

Jeszcze nie.

Towarzyszył mu szmer rzeki i szum wiatru szalejącego wśród liści okolicznych drzew. Ale tylko jeden dźwięk przebił się przez burzę jego myśli. Dudnienie. Głuche kroki, które wprawiały ziemię w drżenie.

Gałęzie trzaskały coraz bliżej, pękając pod czyjś ogromnym ciężarem. Cade zacisnął pięści, zmuszając się do bezruchu.

Jeszcze trochę bliżej.

Jeden oddech. Dwa.

Były tuż przed nim.

– Teraz! – ryknął, zrywając się na równe nogi.

Nawet nie patrzył, co robią przyjaciele. Po prostu rzucił się w stronę stada, które zatrzymało się nie dalej niż o rzut kamieniem od niego.

Biegając, machał rękami na zaskoczzone zwierzęta, a jego okrzykom wtórowały dwa kolejne głosy. Tuzin zauropodów o długich

szyjach zdawał się zasłaniać niebo. Było ich więcej, niż się spodziewał.

Dziesięć metrów. Pięć. Trzy.

Krzyk zamarł mu w gardle, kiedy zatrzymał się w cieniu najbliższego stworzenia. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Cade zobaczył, jak matowe, krowie oczy wywracają się do tyłu.

Amber i Quintus pojawili się po jego bokach. Również uci-chli, wyraźnie zachwyceni słoniowatymi bestiami, które mieli przed sobą.

– No, ruszać się! – krzyknęła Amber. – Dalej!

Przez kilka pełnych napięcia sekund stworzenia wpatrywały się w nich. A potem, jakby na jakiś niewidoczny sygnał, całe stado odwróciło się i pognąło przed siebie.

– Za nimi! – zawołał Quintus.

Powietrze grmiało od tętentu rozpedzonych zwierząt. Bea, Trix i Yoshi wyłonili się zza drzew, zbijając się w grupę i wyjąc niczym Banshee. Skutecznie zmusili olbrzymy do skręcenia w stronę brzegu rzeki.

Cade pędził najkrótszą drogą wiodącą między linią drzew a płynącą wodą. Niemal od razu zauważył, że największe ze stworzeń zwalniają. Nie miał pojęcia, czy to z powodu zmęczenia, czy też świadomości, że ścigający je ludzie nie stanowią dla nich większego zagrożenia.

– Jeszcze trochę! – zawołał.

Ale stado zatrzymało się, a najbliższa z bestii odwróciła się w jego stronę. Był to duży osobnik o szyi i bokach pokrytych bliznami, zapewne pamiątkami po atakach znacznie groźniejszych drapieżników. Zrobił krok do przodu, mocno bijąc swoim długim ogonem. I wtedy rozległ się ostatni okrzyk. Zza drzew wyłoniły się dwie kolejne postacie. Scott i Grace.

Wymachiwali gigantycznym sztandarem, drąc się jak szaleni. Banner, a dokładniej wór rozciągnięty między dwoma kijami,

wyglądał niezbyt imponująco. Ale na samym jego środku znajdowało się gigantyczne oko namalowane popiołem, węglem drzewnym i wybraną z rzeki gliną.

To wystarczyło, żeby ponownie przestraszyć stado. Ziemia zadrżała, gdyż bestie odskoczyły kilka kroków do tyłu.

Potężny samiec, który przewodził stadu, rzucił się splotzony w bok, popiskując z przerażenia. Nagle jego bek zamienił się w pojedynczy skowyt, który niemal natychmiast umilkł.

Po utracie przywódcy stworzenia rozpieczęły się we wszystkie strony, mijając ukrytych za drzewami Beę, Trix i Yoshiego.

Zdyszany Cade po chwili dotarł do miejsca, gdzie zniknął wielki zauropod: do dołu przykrytego gałęziami, zamaskowanego cienką warstwą błota i liści.

Przykucnął i wyjrzał znad krawędzi. Widok był przerażający. Wielka bestia nadziała się na zaostrome pale wbite w dno pupłapki, utwardzone ogniem i zaostrome tak, żeby przebić grubą skórę każdej bestii, która na nie spadnie.

Nawet w chwili triumfu Cade nie mógł pozbyć się żalu, że skrzywdził tego łagodnego olbrzyma. Zauropod zadrżał, wydając ostatnie tchnienie, po czym jego głowa opadła na ziemię.

– Udało się! – zawołał Scott, podbiegł do Cade'a i spojrział w dół. Na widok zakrwawionego truchła triumfalny uśmiech ulotnił się z jego twarzy.

Pozostali dołączyli do nich, zaskoczeni sukcesem polowania.

– Nie sądziłam, że nam się uda – przyznała Amber.

Cade pokręcił głową.

– Rdzenni mieszkańcy Ameryki polowali w ten sposób przez tysiące lat. My tylko zastąpiliśmy urwisko wykopany przez nas dołem.

Tak naprawdę Cade nie chciał nawet myśleć, jak wielkim przekleństwem okazała się dla nich ta dziura w ziemi. Jej przygotowanie zajęło im tygodnie. Zresztą nie zdołaliby jej ukończyć, gdyby

nie znaleźli w tym miejscu naturalnego zagłębienia, prawdopodobnie wyrzeźbionego przez nieistniejący już dopływ rzeki.

Zgromadzenie „przynęty” też sporo ich kosztowało, bo zauropody gustowały w delikatnych pędach i pączkach rosnących na wysokich gałęziach, najlepiej takich, do których same nie mogły dosięgnąć. Na szczęście Quintus potrafił wspinać się jak małpa. Pracowicie ścinał młode gałęzie i strącał gorzkie owoce, uwielbiane przez te wielkie bestie. Zostawili je później nieopodal naturalnej ścieżki wydeptanej w buszu i na zmianę pełnili przy niej wartę, czekając na przybycie stada.

Cade nie był też pewien, czy płótno z okiem zadziała. Rysunek zaproponowała Amber, która wypatrzyła podobny wzór na skrzydło motyla. Domyśliła się, że ma on odstraszać inne zwierzęta.

– To co teraz? – rzucił Yoshi, przerywając rozmyślenia Cade’a.

– Przynies toporek Amber – zarządził Cade. – A ty, Scott, wypatruj drapieżników. Zapewne dość szybko zwęszą padlinę.

Potem chwycił linę z węzłami, umieszczoną przy bocznej ścianie dołu, i zaczął schodzić. Zapowiadał się krwawy wieczór.

DWA

Słońce chyliło się ku horyzontowi, kiedy drużyna wreszcie zabrała się do pracy.

Polowanie było efektem desperacji. Ryby, których niegdyś im nie brakowało, teraz coraz rzadziej gościły na ich stole. Zniknęły też niewielkie srebrne rybki, które Yoshi łapał w swoje sieci. W efekcie nie mieli wyboru i musieli podjąć próbę polowania na większą zwierzynę.

Ryzyko się opłacało. Olbrzym, którego zabili, przypominał bezdenną studnię pełną pożywienia. Cade żałował jedynie, że nie przygotowali się lepiej do uporządzenia go. Teraz zdał sobie sprawę, że ich właściwa praca dopiero się zaczyna.

Najpierw musieli przebić się przez skórę zwierzęcą – grubszą niż skóra nosorożca i dwa razy twardszą. Pod nią znajdowała się warstwa żółtawego tłuszczu. Prawie godzinę zajęło im wycięcie toporkiem Amber otworu w brzuchu. Kolejną godzinę przebić się przez płataninę jelit oraz dostanie się do pożywnego mięsa i innych jadalnych organów. Nie zdołali przerąbać wielkich kości i ścięgien nóg, choć Scottowi udało się odciąć końcówkę ogona długości przedramienia. Kiedy skończył, ciężko sapał z wysiłku.

Tak naprawdę najcenniejsze były tłuste podroby stworzenia. W naszym świecie ludzkość odwracała wzrok od wszystkiego, co nie było mięśniami. Nasi przodkowie walczyli tymczasem o pożywne organy wewnętrzne. W podobny sposób myślała grupa wygłodniałych nastolatków.

Quintus miał pewne doświadczenie w obróbce mięsa – w przeszłości kradł owce Piktom, z którymi walczył w Szkocji. Z pewnością nie miał wcześniej do czynienia z tak dużymi istotami, a jednak, ku zaskoczeniu Cade'a, z gladiusem w ręku wczołgał się do brzucha bestii.

Wkrótce wyrzucił galaretowatą bryłę fioletowego mięsa, która okazała się wątroba, tak ciężką, że potrzeba było dwóch osób, żeby ją podnieść. Następnie pojawiły się nerki wielkości piłki nożnej i serce tak wielkie, że Cade mógł włożyć pięść w jego arterię. Potem przyszły kolejne narządy, których chłopak nie potrafił rozpoznać. Wierzył jednak, że Quintus wie, co robi.

Grace ponownie zaatakowała jedną z nóg giganta, rozcinając staw kolanowy toporkiem Amber. W tym czasie pozostali zajęli się wycinaniem kawałków ziarnistego, żółtego tłuszczu z okolic brzucha... I wtedy właśnie nadleciały pierwsze pterozauury. Zaczęły krążyć im nad głowami niczym sępy.

Ich widok uświadomił Cade'owi, że mają coraz mniej czasu. Pterozaurów wypatrywały inne drapieżniki, o ile wcześniej same nie wyczuły zapachu krwi. Kiedy w końcu Grace udało się odciąć nogę stworzenia, Cade uznał, że pora się zbierać.

Szkoda mu było odchodzić przed pojawieniem się drapieżników. Wiedział jednak, że kiedy już się zbliżą, całe przedsięwzięcie pójdzie na marne, bo nie zdołają zabrać ze sobą mięsa. Zarządził więc powrót, ocierając krew i pot z czoła oraz ignorując jęki zawiedzionych przyjaciół.

Choć byli wyczerpani, musieli jeszcze wyciągnąć zdobycz na górę i w jednym rzucie zatargać do Twierdzy. Mięso i podroby

wydobyli z dołu w prowizorycznych drewnianych klatkach, które zrobili specjalnie na tę okazję, a następnie przepakowali łup na sanie zbudowane z worków i drewnianych bali. To była istna góra jedzenia!

Jeszcze nie świętowali. Zdecydowali się jedynie na skromną przekąskę, która dodała im sił na dalszą drogę.

Przeciagnęli sanie przez tunel z powrotem do Twierdzy, gdzie rozpalili ognisko i upiekli kilka plastrów odciętych z końcówki ogona. Wkrótce siedzieli już wokół ognia i objadali się łapczywie, co uniemożliwiało im jakąkolwiek rozmowę. Wydawali z siebie jedynie ciche, pełne satysfakcji westchnienia. Już dawno nie jedli mięsa.

– Jesteś pewien, że to zadziała? – odezwał się w końcu Yoshi z ustami pełnymi pieczeni z zauropoda.

Skinął głową na konstrukcję, której budowa zajęła im prawie tyle samo czasu, co wykopanie pułapki. Wyglądała jak drewniana szopa, tak prowizoryczna, jak tylko szopy bywają, ze ścianami z bali poprzątykanych błotem oraz dachem z gałęzi, uszczelnionym dodatkowo plecionymi liśćmi palmowymi i plandeką uszytą z płótna. Kto mógł przewidzieć, że toporek Amber okaże się aż tak ważny? Bez niego niewiele by zdziałali.

Wędzarnia była mniejsza, niż chciałby Cade. Ale musiała wystarczyć.

– Bierzmy się do cięcia – stwierdził.

Zaczęła się najbardziej wyczerpująca harówka. Świeżo naostrzone miecze rąbały parujące mięso i kroili je na paski, tak by dało się je zawiesić na poziomych żerdziach w prowizorycznej szopie.

Cade zabrał się do wielkiej, szponiastej łapy, którą Grace zdołała odciąć. Pracował ostrożnie, żeby przypadkiem nie uszkodzić ostrza o wielkie kości, które musiały być twarde jak stal, żeby utrzymać takie cielsko.

Noga wyglądała zupełnie jak kończyzna słonia, pokryta podobną, bardzo grubą skórą i uzbrojona w długie pazury. Cade cieszył się, że zauropody w tym stadzie nie okazały się jeszcze większe.

Pracowali do późnej nocy. Tłuszcz ładowali do wiader i zanosili do chłodnej łaźni znajdującej się pod Twierdzą. Zamierzali go później wykorzystać jako główne źródło energii – bez dających siłę węglowodanów długo by nie pociągnęli. To miał być ich olej do smażenia, a zarazem masło. Do tego baza dla zup i sosów.

Dopiero kiedy skończyli pracę, rozpalili w szopie ognisko. Zadbali o sporą ilość zielonych liści, żeby wytworzyć jak najwięcej dymu i nie dopuścić do zajęcia się samej konstrukcji.

Cade sztukę wędzenia znał tylko w teorii. Liczył, że dym odwodni mięso i jednocześnie je zakonserwuje, dzięki czemu wędlina z dinozaura przetrwa długie miesiące.

Gdy ogień płonął, a dym buchał wewnątrz szopy, cała drużyna padła ze zmęczenia. Jedyne Cade wciąż wpatrywał się w trzaskające płomienie. Siedział z poczerniałą od sadzy twarzą i rękami unurzany po łokcie we krwi.

Przetrwanie ważna rzecz, jednak wkrótce Kodeks ponownie się odezwie. A wówczas gra... Cóż, zaczniesz się po raz kolejny.

TRZY

Kodeks milczał od czasu pojedynku z alfą, ale jego zegar nieustannie odmierzał czas. Minęły już dwa miesiące, a dron się nie obudził.

Został jeszcze tydzień. Cade postanowił skupić się na walce o przetrwanie i zignorować ten mroczny niepokój, który pod postacią chmury prześladował go w koszmarnych snach.

– Mogę ci potowarzyszyć?

Głos Amber przebił się przez jego myśli, wyrrywając z lekkiej drzemki. Przez ostatni miesiąc zdążył już przywyknąć do czujnego snu. Strach przed łowcami niewolników, którzy mogliby ponownie zawlec ich do Nowego Rzymu sprawiał, że co noc ktoś pełnił na gorze wartę, wypatrując statków sunących w górę rzeki lub ciemnych postaci kluczących wśród drzew.

Cade skinął głową i odsunął się, dzięki czemu Amber mogła wyciągnąć się obok niego. Nie zdążył jeszcze zmyć z siebie brudu z wczorajszego polowania, jednak panujący tu chłód zapewnił mu przyjemną ulgę po męczącej pracy na dole.

– Jak tam ogień? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Yoshi go dogląda.

Jej palce wsunęły się pomiędzy jego palce. Dowód czułości, która wciąż rozpalala jego serce. Zacisnął dłoń i przez chwilę oboje wpatrywali się w dolinę. O tej porze wyglądała pięknie. Blizniacze księżycy, czerwony i biały, rzucały ciepłą poświatę na połacie drzew skąpanych w pierwszych, nieśmiałych promieniach słońca jaśniejącego tuż za horyzontem.

– Ładnie tu – stwierdziła. – Romantycznie.

Położyła głowę na jego ramieniu, uśmiechnęła się. Pewność, że nie zabraknie im jedzenia dawała mu ogromną ulgę i pozwalała na chwilę wytchnienia.

– Kto by pomyślał, że można być romantycznym upapranym flakami dinozaurów.

Kopnęła go delikatnie, choć usłyszał też ciche parsknięcie.

– Doskonali sposób na zepsucie niezwyklej chwili!

Ich związek, rozpoczęty tuż przed pojedynkiem z alfą, przerwała długa rekonwalescencja. Ale to Amber siedziała przy łóżku Cade’a, gdy telepał się w gorączce i wił z bólu. Amber opatrywała mu rany i kładła kompresy na rozpalone czoło.

Cade z czasem wyzdrowiał. Pozostało mu kilka blizn, na szczęście nie odniósł żadnych trwałych urazów.

– Nie musimy dziś czuć – zapewniła, przysuwając się bliżej.

Nie wiedział, czy zrobiła to z powodu chłodu, czy też z potrzeby bliskości. Mimo to uśmiechnął się.

– Serio? – zapytał. – Niby skąd to wiesz?

– Spójrz na naszą pułapkę.

Cade podążył wzrokiem za czerwonym księżycem odbijającym się w rzece, mrużąc przy tym oczy. Początkowo widział tylko cienie. Ale kiedy jego oczy przyzwyczyły się do światła, dostrzegł poruszające się kształty, mroczną czerną na tle ciemności. A gdy wiatr zmienił kierunek, przyniósł ze sobą porykiwania i klapanie zębów drapieźników walczących w dzungli o padlinę.

– Myślisz, że łowcy niewolników wybraliby się tutaj, choć w okolicy kręcą się dzikie bestie?

Cade musnął ustami jej czoło.

– Myślę, że dla nocy z tobą warto jest zaryzykować.

Amber się uśmiechnęła.

– To zabrzmiało już nieco lepiej. Co zaplanowałeś?

– Późną kolację i film? – zapytał.

– Klasyka – mruknęła, unosząc głowę i przeciągając się. – Możesz wypożyczyć dla mnie resztę Terminatorów? Mówiłeś, że nakręcono ich kilka...

Cade potrząsnął głową.

– Jeśli choć raz obejrzysz drugiego, nie będziesz chciała oglądać pozostałych. Serio.

Amber westchnęła.

– Więc... dinomiośo i projektor Le Prince'a? – podsumował, czym wywołał uśmiech na twarzy dziewczyny.

– Będzie musiało wystarczyć – odpowiedziała, udając rozczarowanie. – Chociaż nie sądzę, żebym chciała oglądać jakies potwory.

– Mnie tego nie musisz mówić – obruszył się Cade. – Cieszę się, że walczyłem tylko z jedną alfą. Nasi poprzednicy zmierzyl się z setkami. I wygrali.

Objęli się i zaczęli ostrożnie schodzić ze wzniesienia. Po drodze spojrzeli jeszcze na pokrytą czerwonym piaskiem przestrzeń, która rozciągała się przed nimi po horyzont.

– Zastanawiałeś się kiedyś, gdzie podzieli się Rzymianie, którzy przybyli tu przed nami? – zapytała Amber. – No wiesz, legion Quintusa i ich poprzednicy?

Cade przygryzł wargę. Faktycznie zastanawiał się nad tym. Zapewne żołnierze wzięli udział w kolejnej rundzie gry Abaddon. Jako przedstawiciele Ziemi stoczyli bój z innym gatunkiem. Podjęli próbę przesunięcia się w górę rankingu i oddalenia

od czerwonej linii, która oznaczała zagładę. Potem zaś zniknęli, a przynajmniej Cade jeszcze na nich nie trafił.

Czy gdzieś w oddali znajdowała się kolejna kaldera? Miejsce zamieszkane przez pierwotne bestie z przeszłości innej cywilizacji?

Tak mało wiedzieli. Cade nie był nawet pewien, czy będą bronić się przed atakiem gatunku okupującego niższe miejsce w rankingu, tak jak to miało miejsce w ostatniej rundzie, czy też zaatakują gatunek znajdujący się wyżej i dzięki temu awansują, podobnie jak to zrobili Rzymianie.

– Cade?

Zawahał się, nie chcąc psuć przyjemnej atmosfery.

– Abaddon sprowadził nas tutaj, żebyśmy ich zastąpili. To znaczy, że... z jakichś powodów nie może z nich skorzystać. I tu postawmy kropkę.

Amber uśmiechnęła się do niego półgębkiem.

– Lubię myśleć, że są gdzieś w pobliżu.

Cade szczerze w to wątpił. Zapewne od ich ostatniej bitwy upłynęły lata.

– Nigdy nie wiadomo – westchnął. – Miejmy nadzieję, że tak jest.

Schwycił Amber za rękę. Nadszedł czas na ich pierwszą oficjalną randkę.